ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Września. № 36. Roku 1856.

POWIEŚCI HENRYKA CONSCIENCE.

Nie przypominamy sobie w żadnem pismie polskiem wspomnienia o pracach p. Conscience. Jestto przecież jedno z słynniejszych imion literackich ostatniej pory. Nie sprawiło ono wprawdzie gwałtownego rozgłosu w świecie, przestało na sławie skromnego, moralnego talentu, lecz posiadając przytem wiele wysokich zalet, osobliwie szczerą oryginalność pomysłu i wykowania, powinno tembardziej pociągnąć nas ku sobie.

Urodził się H. Conscience przed 44 laty w dzisiejszem królestwie Belgijskiem, a pisze w narzeczu swoich rodzinnych stron, t. j. flamandzkiem, pokrewnem językowi holenderskiemu, i prawie zupełnie nieuprawnem przed jego czasem. Przezto zasłynął Conscience jeszcze jako twórca wcale nowej literatury, która tak pod względem języka jak i stylu dopiero pod jego piórem wykształciła się i urosła. Pisząc zaś w mowie mało komu przystępnej, musiał młody, ubogi Flamandczyk obierać do swoich tworów przedmioty ściśle miejscowe, jużto z bogatych w dramatyczne wspomnienia dziejów flamandzkich, jużto z życia i obyczajów teraźniejszej ludności kraju. Takim sposobem powstały od roku 1837 powieści: ***Rok cudów 1566***, ***Lew flandryjski***, ***Jakób Artewelde*** i ***Sceny z życia flamandzkiego***. Najwięcej podobały się te ostatnie, napisane z niezrównanym wdziękiem owej naiwnej, dobrodusznej i drobiazgowej prawdy, którą tak chlubnie w dziejach sztuki odznaczyła się starodawna szkoła flamandzka. Zdało się czytelnikom, że owe rodzajowe obrazki niderlandzkie, które dotąd podziwiano tylko na płótnie, przeniosły się teraz na karty powiastek p. Conscience, i bawią ich zręcznie kierowanem następstwem najrozmaitszych scen z życia. Jakoż dzięki tym serdecznym, misternym a przecież nie manierownym, wszędzie najczyściejszą moralnością jaśniejącym powiastkom, stał się ich autor ulubieńcem znacznej części publiczności francuzkiej i niemieckiej, lubo tylko w przekładach obeznanej z jego pracami. W języku polskim, o ile wiemy, tylko ***Rozmaitości*** nasze w pierwszych roku bieżącego numerach, podały jedną z powiastek p. Conscience. Obecnie, przy bliższej znajomości z autorem, nie zbyteczną może będzie druga i trzecia.

Ciemna Rózia.

W prześliczny dzień letni roku 1846, kamienistym gościńcem z Anvers do Turnhout, pędził jak zwyczajnie stary powóz pocztowy. Konie parskały, klaskał językiem naganiający szkapy konduktor, szczekały psy w oddali, wzbijał się w powietrze świegotający skowronek, pomykał chyżo po ziemi cień powozu i koni, i jakieś dziwaczne wyprawiał pląsy, skacząc po drzewach i krzakach, któremi po obu stronach wysadzony był gościniec.

Nagle zatrzymał się powóz obok jakiejś samotnej gospody przy drodze. Konduktor zskoczył z siedzenia, otworzył milcząc drzwiczki, i spuściwszy żelazny stopień, podał rękę podróżnemu, który z skórzanym tłumokiem pod pachą wyskoczył ochoczo z powozu.

Uczyniwszy tak zadość powinności, zamknął konduktor w milczeniu drzwiczki, podniosł znowuż stopień, i znowuż na swojem miejscu usiadłszy, klasnął w znak do odjazdu. Konie ruszyły, a ciężki wóz potoczył się dalej w swoją jednostajną codzienną podróż.

Podróżny tymczasem wszedł do gospody, i zasiadł tam za stołem. Byłto mężczyzna wysokiego wzrostu, mogący mieć lat około sześćdziesięciu. Owszem, możnaby mu było policzyć więcej, gdyby nie owa marsowa postawa, owe żywe i bystre spojrzenie, i ów dobroduszny zresztą uśmiech na ustach, które świadczyły wymownie, że w piersi tego człowieka biło serca daleko młodsze od twarzy. Przy tem wszystkiem miał on już siwe włosy, czoło i jagody poorane zmarszczkami: w ogólnem zaś wyrazie jego rysów przebijało się głębokie unużenie, pochodzące zwyczajnie z nadmiaru pracy i zmartwień, a na-

dające obliczu znamię, przedwczesnej starości. Pomimo czego jednakże wydobywał się silny i swobodny oddech z piersi szerokiej, głowa trzymała się prosto, a w oczach tlała iskra prawdziwej męzkości.

Z ubioru wyglądał on na jakiegoś zamożnego mieszczanina. Zresztą nie było w jego stroju nic szczególnego. Tylko zapięty po samą szyję surdut i wielka fajka piankowa, zawieszona na piersiach, zdawały się znamionować Niemca lub dawnego żołnierza.

Domownicy gospody podali nieznajomemu podróżnemu czego zażądał, i powrócili do zwyczajnych zatrudnień, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Obie córki gospodarza sprzątały w izbie gościnnej, ojciec dokładał drew na ognisko, matka przyspasabiała mięso na rosół. Żadno z nich nie przemówiło ani słowem do gościa, łubo on z jakiemś szczególniejszem spoglądał na nich zajęciem, i zdawał się pytać swojem słodkiem spojrzeniem: „Jakto nie poznajecież mnie?“

Nagle uderzył go dźwięk bijącego zegara. Dźwięk ten sprawił na nim widocznie jakieś niemiłe wrażenie. Wyraz smutnego zdziwienia przemknął nagle po twarzy, i przestał igrać uśmiech na ustach. Zerwał się z miejsca, i spojrzał gniewnem okiem na zegar, który właśnie dziewiątą bił godzinę.

Gospodyni spostrzegła to osobliwsze wzruszenie nieznajomego, a przysunąwszy się od niechcenia ku niemu, zaczęła także z uwagą przypatrywać się zegarowi, jakgdyby spodziewała się obaczyć na nim coś niezwykłego.

„Mało który zegar bije tak dźwięcznie jak nasz;“ — zagadnęła wreście. — „A przecież od lat dwudziestu nie był w ręku zegarmistrza.“

„Od lat dwudziestu“ — mruknął nieznajomy z westchnieniem. — „A cóż się stało z zegarem, który dawniej wisiał na tem miejscu? Gdzież się podziała ta piękna Matka Boska, co stała niegdyś na kominie? Zapewne połamała się, i poszła w poniewierkę?“

Poczciwa gospodyni spojrzała osłupiałemi oczyma na nieznajomego, i rzekła:

„Nasza-to Zanna, będąc jeszcze dzieckiem, bawiła się Matką Boską i połamała ją w drobne kawałki. Lecz nie wielką zrobiła szkodę, gdyż była to już stara i zaprószona figurka. Sam proboszcz kazał kupić inną w jej miejsce. Oto widzisz pan nową. Czyż nie ładniejsza od tamtej?“

Nieznajomy wstrząsł głową w znak zaprzeczenia.

„Stary zaś zegar“ — ciągnęła gospodyni dalej — „usłyszysz pan niebawem. Grat to do niczego, codziennie się spoźnia. Od niepamiętnych już czasów wisi w izbie nad piwnicą. Słyszysz pan? Oto właśnie zaczyna bić!“

W tej chwili ozwała się jakaś dziwna muzyka w ubocznej izbie. Byłoto niby kukanie kukułki, zastępujące zwyczajne bicie godzin.

Zaledwie głos ten doleciał uszu nieznajomego, zajaśniał uśmiech radośny na jego twarzy. Po chwili zerwał się z miejsca, pobiegł do izby przyległej, i z wyrazem jakiejś dziecinnej radości wlepił oko w stary zepsuty zegar. I stał przed nim tak długo, aż za dziewiątem uderzeniem godziny zakończyła kukułka swój spiew chrypliwy.

Gospodyni i obie córki wbiegły zdziwione do izby za nieznajomym. Hoże dziewczęta zbliżyły się z szczególniejszą do niego ciekawością, a ich duże błękitne oczy wpatrywały się z niemem pytaniem kolejno to w gościa, to w również zdziwioną matkę. Jakoż te ciekawe, pytające spojrzenia położyły koniec głębokiemu zadumaniu nieznajomego. Powrócił na dawne miejsce w głównej izbie gospody, jakgdyby już wszystko był widział, co chciał obaczyć.

Potem jakieś radosne uczucie zdało się wzruszać pierś jego. Rozlał mu się po twarzy tak łagodny i miły wyraz, a zwilżone oko jaśniało tak uprzejmie, że ciekawe dziewczęta z szczególniejszem zajęciem zbliżyły się do niego.

Nieznajomy wziął obiedwie za ręce i rzekł:

„Postępowanie moje zadziwia was zapewne? Nie pojmujecie, czemu głos starej kukułki wzruszył mię do tego stopnia? Ach, byłem i ja kiedyś dzieckiem.... Ojciec mój przychodził tu co niedziela na szklankę piwa. Jeślim był grzeczny przez cały tydzień, towarzyszyłem mu w tej świątecznej wycieczce. Wtedyto przez całe godziny wpatrywałem się w starą ukochaną kukułkę, a skoro grać zaczęła, tańczyłem, skakałem na nutę jej spiewu: podziwiałem ją w mojej dziecinnej wyobraźni jako arcydzieło dowcipu i sztuki ludzkiej. I kochałem też ową Matkę Boską, którą jedna z was połamała, bo jakże piękny płaszcz błękitny miała na sobie, a małe dzieciątko Jezus wyciągało do mnie swą drobną rączkę, i uśmiechało się do uśmiechu mojego. Dziś ów igrający z Jezuskiem chłopczyna liczy już lat siedmdziesiąt; włos jego siwy, lica zwiędłe..... Trzydzieście i pięć lat przebył w pustyniach Rossyi...... A przecież przypomina sobie tak żywo i Matkę Boską

i zegar i kukułkę, jakgdyby wczoraj dopiero był tu z ojcem swoim w niedzielę.“

„Jesteś pan więc z naszej wsi?“ — zapytała Zanna.

„Tak jest“ — odpowiedział nieznajomy z radosnem rozrzewnieniem.

Lecz słowa te nie sprawiły wcale wrażenia, jakiego się spodziewał. Zajaśniał wprawdzie na ustach obudwóch dziewcząt uśmiech cokolwiek przyjaźniejszy, lecz na tem się też skończyło. Wyznanie podróżnika nie przejęło ich ani zdziwieniem ani uciechą szczególniejszą.

Zwrócił się więc nieznajomy do matki, i rzekł:

„A gdzież jest stary Jostens?“

„Pytasz się pan zapewne o ojca Jana“ — odparła pospodyni. — „Umarł nieborak przed dwudziestu i pięcią laty.“

„A jego żona, ta poczciwa otyła Petronela?“

„Umarła także!“

„Pomarli,... Pomarli“ — mruknął nieznajomy ponuro. — „A z owym owcarzem Andrzejkiem, co tak prześliczne koszyki wyplatać umiał, coż się z nim stało?“

„Umarł także“ — odpowiedziała gospodyni jak pierwej.

Nieznajomy pochylił głowę na piersi, i w jakieś smętne pogrążył się zamyślenie.

Gospodyni tymczasem wybiegła cożywo do męża, aby mu opowiedzieć o nieznajomym. Niebawem sam gospodarz wszedł ciężkim krokiem do izby. Głośne jego stąpanie przebudziło gościa z dumań ponurych, którym przez dłuższy czas się oddawał.

Nagle zerwał się z miejsca, i z radosnym wykrzykiem poskoczył ku wchodzącemu, nadstawiając mu rękę. Gospodarz zimno uścisnął rękę podaną, i z jak największą obojętnością zaczął przypatrywać się nieznajomemu.

„Cożto! i tyż Piotrze Jostens, nie poznajesz mnie?“ — zapytał smutnie podróżnik.

„Nie poznaję. Ani mogę sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziałem pana.“

„Nie przypominasz sobie przyjaciela, co z narażeniem własnego życia rzucił się pod lód Veeny, aby cię od nieochybnej ocalić śmierci?“

Piotr Jostens ścisnął ramiona.

„Zapomniałeś druha młodości, który niegdyś od silniejszych bronił cię towarzyszów, który ci jaja ptasze przynosił, który cię uczył robić piszczałki z kory wierzbowej, który cię brał z sobą, gdy wózkiem strycharza Pauwel jechał na jarmark.

„A, przypominam sobie“ — odparł Piotr Jostens zagapiony. — „Przypominam sobie, jak mi ojciec nieboszczyk opowiadał, że mając sześć lat o mało nie utonąłem w rzece. Ale *Długi Jan* uratował mię wówczas. Potem *Długi Jan* poszedł w świat z Francuzami, na wojnę, jeszcze za Napoleona. Ktoż wie w której tam ziemi spoczywają jego kości bez błogosławieństwa duchownego? Niech się Pan Bóg zmiłuje nad jego biedną duszą!“

„Aha!“ — zawołał nieznajomy uradowany.— „Więc mię poznajesz! Jato jestem owym *Długim Janem* czyli raczej Janem Slaets.“

Gdy jednak Piotr Jostens nic na to nie odpowiadał, nieznajomy pytał dalej zdziwionym głosem:

„Jakże nie przypominasz sobie najlepszego strzelca we wsi, najzawołańszego myśliwca w okolicy, który w żadnej grze nie miał sobie równego, na którego wszystkie dziewczęta miło rzucały okiem? Wszak to ja nim byłem, ja Jan Slaets.“

„Być może,“ — odparł gospodarz z niedowierzaniem. — „Ztemwszystkiem, bez obrazy to mówię, nie znam pana. Dziś nie mamy już strzelców w naszej wsi. Dawną strzelnicę zamieniono w piękny domek letni, który właśnie od dwóch lat stoi próżno; bo umarła pani, która w nim dawniej mieszkała.“

Obruszony lodowatą obojętnością Piotra, nie próbował już Jan przypomnieć mu się lepiej. Powstał z miejsca, jakgdyby chciał już odejść, i rzekł spokojnie:

„Znajdą się jeszcze we wsi dawni przyjaciele, którzy nie zapomnieli mnie całkiem. Ty Piotrze byłeś jeszcze dzieckiem, kiedy w świat wyruszyłem. Jestem pewny, że strycharz Pauwel rzuci mi się na szyję, skoro mię tylko obaczy. Zapewne mieszka on zawsze przy moczarach?“

„O, gdzieżtam! Cegielnia spaliła się przed kilkunastu laty, a kopalnie gliny pozawalały się wszystkie.“

„A coż sie stało z biednym Pauwelem?“

„Nie wiem. Cała rodzina wyniosła się po tym wypadku ze wsi, i nic było odtąd słychać o niej. Zapewne poumierali wszyscy. Lecz uważam, że pana obchodzą jedynie czasy mojego dziadka. W takim razie nie łatwo otrzymasz wiadomość o kim, chyba że udasz się do naszego grabarza. On jeden wie wszystko na palcach, co od stu lat zaszło we wsi.“

„O wierzę! Jan Piotr będzie miał już więcej niż dziewięćdziesiąt lat....“

„Jan Piotr? Nie jestto nazwisko naszego grabarza. Jest nim Wawrzyniec Stevens.“

Uśmiech zadowolnienia zajaśniał na twarzy przybysza.

„Dzięki Bogu!“ — zawołał radośnie. „Pozostał przecież choć jeden z moich towarzyszów!“

„Wawrzyniec był zapewne pańskim przyjacielem?“

„Moim przyjacielem?“ — odparł przybysz wstrząsając głową. — „Przeciwnie, byliśmy z sobą w wiecznym sporze i swarze. Ot, zwyczajnie jakto pomiędzy rywalami w miłości. Przypominam sobie między innemi, iż raz bijąc się z nim na moście w Kalwer-Moeren, zepchnąłem go w rzekę, a biedak o mało nie utonął. Lecz jużto ze czterdzieście lat temu. Wawrzyniec będzie rad mojemu przybyciu. Pójdę do wsi. Bądź zdrów, Piotrze Jostens; przyjdę tu nieraz na szklankę piwa.“

I zapłaciwszy co się należało, wziął Jan swój skórzany tłumok pod pachę, wyszedł na gościniec, i skręcił zaraz na wązką ścieżkę, która tuż za oberzą wpadała w mały gaik jodłowy.

Jakkolwiek odpowiedzi Piotra Jostens nie bardzo były ucieszne, pokrzepiły one przecież umysł przybysza. Słodkie pamiątki minionych lat witały go za każdym krokiem, a pod wpływem coraz liczniejszych wspomnień, zdawał się starzec nowych nabierać sił. Tylko drzewa, które ze wszystkich stron otaczały go w tej chwili, nie przemawiały mu wcale do serca. Niegdyś znajdował się gęsty jodłowy las na tem miejscu. Ileżto gniazd ptasich było tam po gałęziach, ile poziomek i malin między zaroślami! Lecz las ten doznał tegosamego losu co i mieszkańcy. Stare drzewa powaliły się pod brzemieniem wieku albo cięciem siekiery, a nowe pokolenie zajęło ich miejsce. Było ono obcem i obojętnem naszemu przybyszowi. Dla niego pozostał tylko tensam spiew ptasząt, który na wszystkie strony rozlegał się z zarośli, tensam żałośny szmer liści kołysanych swawolnym wietrzykiem, tosamo świegotanie polnych koników. „Ludzie i miejsca uległy zmianie; tylko wieczna harmonia natury pozostała niezmienną;“ — pomyślał nasz podróżny, i szedł powoli naprzód.

Wkrótce urwała się ścieżka przez gaik. Najpiękniejszy krajobraz odsłonił się przed oczyma przybysza. U nóg jego rozścielały się szerokie obszary łąk i pól uprawnych; środkiem pomiędzy niemi wił się w kapryśnych zakrętach strumyk srebrzysty. Nieco dalej wznosiła się dzwonnica z spadzistym dachem, na którego szczycie, jakgdyby gwiazdka jaka, jaśniał kogut złocisty w blasku tysiącznych promieni słońca. W dalszej głębi krajobrazu widać było piękny młyn wietrzny, poruszający nieprzerwanie swoje czerwono omalowane skrzydła.

Rozrzewniony wędrowca stanął. Nieopisany wyraz szczęścia i zachwycenia opromienił mu lica, napełnił oczy łzami. Spuścił tłumok na ziemię, i wyciągnął ramiona, jakgdyby objąć chciał ziemię całą.

Wtem ozwał się dzwonek na Anioł Pański. Podróżny padł na kolana, pochylił głowę na piersi, i przez kilka chwil pozostał w tej postawie, drząc cały od wzruszenia. Gorąca modlitwa płynęła mu z ust i serca, rozpromienione wdzięcznością oko zwróciło się ku niebu, ręce złożyły się do nabożeństwa. Po niejakim czasie powstał, wziął tłumok, i puszczając się w dalszą drogę, rzekł zcicha, z spojrzeniem ku dzwonnicy:

„O przynajmniej tyś się nie zmienił, mój cichy, skromny kościołku!..... W twoich murach byłem ochrzczony, na stopy twojego ołtarza płynęły moje łzy radośne, gdym pierwszą przyjmował komunię. Ach, jak wspaniałym, jak cudownym, jak świętym wydawałeś mi się w owym czasie! I teraz ujrzę cię na nowo. Ujrzę Matkę Boską w złotej szacie a srebrnej koronie, ujrzę świętego Antoniego, i świętą Urszulę i owego czarnego diabła z czerwonym językiem, o którym tylekrotnie śniłem. I usłyszę znowuż owe organy, na których zakrystyan Franciszek tak prześlicznie przygrywał, kiedy my młodzi spiewaliśmy: „*Ave Maria, gratia plena!*“

Ostatnie te słowa zanucił przybysz z pełnej piersi, a dwie gorące łzy wymknęły mu się z oczu. Po chwili puścił się dalej w drogę, jakgdyby już o wszystkiem zapomniał. Niebawem stanął przed wązką kładką, która przez mały strumyk prowadziła na łąkę wilgotną, przechodzącą gdzieniegdzie w trzęsawisko.

Tu uśmiechnął się nasz przybysz dziwnie rzewnym i słodkim uśmiechem. Zdawało się, jakoby wszystka dusza jego zabłysnęła mu teraz na twarzy.

„Ach tutajto“ — rzekł wzruszonym głosem— „ścisnąłem po raz pierwszy rękę Rózi; tutaj po raz pierwszy doznałem roskoszy błogosławionych, szczęścia niebios... I właśnie jak w tej chwili, świeciło wtedy słońce na niebie, świegotał skowronek w powietrzu....“

Po tych słowach wstąpił na kładkę, i przeszedłszy na drugą stronę rzeczki, prawił zcicha do siebie: „Ach, niema już kwiatów z onego czasu; niema skowronka, który opiewał naszą miłość. Nowe nieznane pokolenie wita dziś starca, pojawiającego się jak cień z dawno minionych czasów. A żyjeż jeszcze Rózia, moja Rózia ubóstwiana? Zapewne żyje zamężna, otoczona gronem dziatek, zapomniawszy o mnie na wieki. Kto spokojnie pozostaje w miejscu rodzinnem, ten zapomina prędko o nieszczęśliwych, którzy w daleką stronę poszli walczyć z swoim losem...."

Uśmiech szyderczy zaigrał mu nagle na ustach.

„Biedny starcze!" — szepnął po chwili. — „Chcesz być zazdrosnym jak za młodu. Pora miłostek dawno już przeminęła dla ciebie.... Ha, mniejsza o to! Byle mię tylko poznała, byle sobie przypomniała czasy naszej miłości, a jak mi zbawienie drogie grzesznemu, nie będę żałował sześciuset mil ani trudów podróży, i wstąpię pocieszony do grobu, w grono mojej rodziny i dawno zgasłych przyjaciół."

Przyszedłszy nareszcie pod samą wieś, wstąpił podróżny do nowej gospody pod znakiem „pługa", i zażądał szklanki piwa od gospodyni.

W kącie przy samem ognisku, zastawionym garnkami, siedział starzec zgrzybiały. Nieruchomy jak statua z kamienia, zdawał on z jakąś szczególniejszą uwagą wpatrywać się w płomienie.

Jan Slaets poznał starca, zanim jeszcze gospodyni wróciła z piwem. Przyskoczył natychmiast do niego, porwał go za rękę, i zawołał radośnym głosem:

„Ha, żyjesz więc jeszcze, zacny staruszku! żyjesz z łaski Najwyższego! Dzięki mu, dzięki! Ty jeden przypominasz sobie owe dawne, kochane czasy! A poznajeszże mnie, zacny Joris! Co, nie poznajesz? Nie przypominasz sobie owego młodego psotnika, który wkradał się do twojego ogrodu, i zbijał niedojrzałe owoce z drzew?"

„Dziewięćdziesiąt sześć lat" — mruknął starzec, nie ruszając się z miejsca.

„Prawda, prawda!" — odparł przybysz. — „Tedy powiedz mi przynajmniej ojcze Joris, czy żyje jeszcze Rózia, córka kołodzieja?"

„Dziewięćdziesiąt sześć lat" — powtórzył drżącym głosem staruszek.

Wtem weszła gospodyni z sklenicą w ręku, i rzekła do nieznajomego:

„Daj mu pan pokój. On ślepy i głuchy. Nie zrozumie nikogo."

„Ślepy i głuchy!" — szepnął smutnie wędrowca. — „Ach, ileż spustoszeń narobił czas w przeciągu trzydziestu i kilku lat. Wstąpiłem pomiędzy ruiny całego pokolenia!"

„Pytałeś pan podobnoś o jakąś Rózię, córkę kołodzieja?" — zagadnęła gospodyni. — „Nasz kołodziej ma wprawdzie pięć córek, lecz żadna nie ma tego imienia. Najstarsza nazywa się Elżbieta, i poszła niedawno za listonosza; druga Kunegunda, robi czepki dla kobiet; trzecia Petronela, a czwarta najmłodsza — Anna, która nie ma zdrowych zmysłów nieboga!"

„Ach, nie o nich ja mówię" — rzekł nieznajomy z niecierpliwością. — „Chciałem się dowiedzieć czegoś o rodzinie Jakóba Meulinx."

„O, ta już dawno wymarła" — odpowiedziała gospodyni, machnąwszy ręką.

Przybysz jęknął głucho, wybiegł z gospody jak opętany, i zakrywszy twarz obiema rękami, zawołał z rozpaczą:

„I ona także! o mój Boże! mój Boże!... Zawsze, zawsze to nielitościwe słowo: umarł! — umarła! — Czyż nikt już nie pozna mnie na ziemi? Żadneż przyjazne spojrzenie nie spocznie na mojej twarzy?"

I zataczając się jakby pijany, przysunął się pod stojącą w pobliżu jodłę, przycisnął głowę do drzewa i pozostał nieruchomy w tym stanie, aż póki pierwsze wzruszenie nie uśmierzyło się cokolwiek. Potem krokiem powolnym i chwiejnym puścił się dalej w głąb wsi, i stanął wkrótce przed bramą cmentarza. Tu odkrył głowę, i zatrzymał się nagle u stóp drewnianego krzyża u wnijścia.

„W tem oto miejscu" — rzekł z ciężkiem westchnieniem; — „przed obliczem ukrzyżowanego Zbawiciela, przysięgała Rózia pozostać mi wierną, i czekać mojego powrotu. Dzika boleść rozdzierała nam wtedy serca, łzy płynęły strumieniem z oczu; prawie odchodząc od zmysłów przyjęła Rózia z rąk moich złoty krzyżyk — pamiątkę i zakład naszej miłości. Biedna kochanko! może właśnie w tej chwili stąpam po zwłokach twoich!"

Pognębiony do reszty tą smutną myślą, upadł biedny przybysz bezwładnie na pobliską ławkę kamienną, i przez kilka chwil pozostał prawie bez czucia. Tylko smętny, bolejący wzrok jego błąkał się po całym cmentarzu, po wszystkich wyższych i świeższych grobach. I zakrwawiało mu się serce na widok tylu starych powalonych na ziemię krzyżów, których nikt niepomyślał podźwignąć, lubo pod niejednym spoczywał czyjś ojciec i czyjaś

matka. I jego też rodzice byli tu pogrzebani. Lecz ktoż mógł mu wskazać ich groby?

Długo tak dumał gorzko nasz przybysz, gdy nagle ocucił go jakiś ciężki krok ludzki.

Szedł popod mur cmentarza stary grabarz z rydlem na ramieniu. Powierzchowność jego miała smutne ślady ubóstwa i troski. Ciągła praca rydlem pochyliła mu plece. Wiek i zmartwienia okryły głowę siwizną, poorały twarz głębokiemi zmarszczkami. Tylko w oczach zachował się jeszcze wyraz młodzieńczej energii.

Na pierwsze wejrzenie poznał w nim Jan Slaets dawnego rywala swego Wawrzyńca. Chciał z początku zbliżyć się szybko do niego, lecz doznane tylokrotnie zawody powstrzymały go w biegu. Umyślił sprobować, czy sam Wawrzyniec nie pozna go pierwszy.

Grabarz zatrzymał się w istocie o kilka kroków od nieznajomego, i zaczął przypatrywać mu się ciekawie. Po chwili zakreślił powzdłużny czworokąt na murawie, i jał kopać, nie spuszczając oka z przybysza. Wtem jakaś złośliwa radość zamigotała mu w oczach.

Biedny Jan Slaets nie pojął prawdziwego znaczenia tej radości. Ucieszony nią niewymownie, spodziewał się że dawny rywal za lada chwilę nazwie go po imieniu, i poda mu dłoń do uścisku.

Lecz Wawrzyniec spoziérał nań ciągle wzrokiem szyderczym, a po chwili sięgnął ręką do starej wyszarzałej kamizelki, i dobywszy z kieszonki jakąś brudną tabliczkę pergaminową, z zawieszonym przy niej ołówkiem, zaczął pisać, obrócony plecami do nieznajomego.

Ten ruch szczególny, wraz z wesołym i trymfującym wzrokiem grabarza, do tego stopnia zadziwiły przybysza, iż zbliżył się żywo do dawnego rywala, i zapytał:

„Coż tak skwapliwie wpisujesz do tabliczki?“

„Wiem ja co robię“ — odparł Wawrzyniec Stewens. — „Już bo też strasznie długo stoisz tu w moim spisie! Zrobiłem krzyżyk przy twojem nazwisku.“ (C. d. n.)

CUKIERKI W ŚREDNICH WIEKACH.

Rzeczto prawie niewątpliwa, iż czasy starożytne znały cukier, a nie znały cukierków. Theofrast u Greków, a Pliniusz, Seneka, Dioskorides i Lukan u Rzymian, wspominają niejednokrotnie o soku z trzciny cukrowej, nazywając go *miodem z trzciny*. Owszem dwaj z nich mówią wyraźnie o cukrze w kształcie laskowego orzecha, o cukrze białym, kruchym i suchym. Mimo czego jednakże zdaje się, iż Rzymianie i Grecy znali cukier jedynie w stanie syropu. Sekret bielenia, oczyszczania i stwardzania cukru, jakoteż sposób wyrabiania z niego łakoci, nie był prawdopodobnie znany wiekom klasycznym.

Sztuka krystalizowania cukru wzięła wcześnie początek u Arabów. Daleko poźniej rozpowszechniła się ona w Europie, a trudnoby nawet oznaczyć dokładnie porę, w której nauczyły się jej narody zachodnie. To tylko pewna, iż najpierwej wyrabiano cukier w Sycylii. Już w roku 1176 darował król Wilhelm II monasterowi w Montreal młyn na mielenie trzciny miodowej, a w tymsamym prawie czasie opowiada Hugo Falcando o całych łanach, zasianych trzciną cukrową w pobliżu Palermu, i opisuje nawet sposób wydobywania cukru z tej cennej rośliny. Z nieco poźniejszych czasów t. j. z roku 1239 zachował się list cesarza Fryderyka II do podesty Palermu. Listem tym nakazał cesarz wyszukać dwóch ludzi, biegłych w fabrykacyi cukru, i mogących wydoskonalić uczniów w swojem rzemiośle, aby sztuka ta nie zaginęła w Palermie. Nieszczęście to nie nastąpiło; owszem fabrykacya cukru podniosła się niesłychanie w poźniejszych latach, a w dziele uczonego Dominika Scina można doczytać się, jak nadzwyczajnie około r. 1448 pomnożyły się plantacye cukrowej trzciny w pobliżu Palermu.

Jeśli zechcemy wierzyć znakomitemu historykowi francuskiemu *de Guignes* i popierającemu jego zdanie Dawidowi Macpherson, tedy będziemy musieli przyjąć, iż trzcina cukrowa dostała się z Sycylii najpierwej do Grenady, poźniej do Madery, a ztamtąd dopiero zawieziono ją do Brazylii i reszty Ameryki. Sprzeciwia się atoli uporczywie temu mniemaniu uczony Moseley, najdokładniejszy badacz historyi cukru. I zdaje się rzeczywiście nieprawdopodobnem, aby trzcina cukrowa zaniesiona została z Sycylii najpierwej do Grenady, gdy już w dziesiątem stóleciu była ona tak dalece upowszechniona w całej Hiszpanii, iż żyjący wówczas Sewilczyk *El Awem*, mógł cały rozdział napisać o niej w swojem dziele o gospodarstwie rolniczem.

Używano w owych czasach cukru do smażenia konfitur, do sporządzania rozmaitych łakoci, szczególnie zaś do syropów i lekarstw. Nader wysoka cena pozwalała przez czas

dłuższy używać go jedynie jako jednego z najkosztowniejszych środków lekarskich. Równie jak i wódkę, sprzedawali go wówczas sami tylko aptekarzowie. Ztądteż podziśdzień zachowało się przysłowie we Francyi: „*Aptekarz bez cukru*“, t. j. tyle co człowiek ogołocony z najpotrzebniejszych rzeczy. Jeszcze w roku 1605 pisał Henryk IV do ministra Sully, aby nadwornemu aptekarzowi kazał wypłacić 17,138 liwrów, bądźto za rozmaite lekarstwa, bądź też za *cukier*, korzenie i świece.

Najpierwszymi tedy cukiernikami byli aptekarze. Lecz jakichże kształtów, jakich własności były ówczesne cukierki? Oto właśnie rzecz najtrudniejsza do oznaczenia. Historya opowiada, że cesarz Fryderyk II, zmarły 13 grudnia 1250, zjadł był w wilią swojej śmierci gruszkę cukrową; nie wiemy przecież, czy gruszka ta była tylko w cukrze smażona, czy też cała dziełem nadwornego aptekarza, który sporządzał zwyczajnie proszek cukrowy, przymieszywany do wszystkich potraw cesarskiego stołu. A cóż za ciekawą osobą był ten aptekarz cesarski! Przez jakąś dziwną ambicyę, niejednokrotnie naśladowaną w wiekach poźniejszych, wzgardził on nagle swoim urzędowym tytułem aptekarza, i przezwał się „filozofem“. Sam cesarz Fryderyk zaszczycał go tem mianem, i roku 1240 w liście do jednego z urzędników nadwornych nakazuje, aby *filozofowi Teodorowi* dostarczono cukru i wszelkich innych rzeczy, potrzebnych do sporządzenia syropów i takzwanych „cukrów fioletowych“ dla cesarza i jego dworu. Przeszedł także do potomności list samegoż filozofa Teodora, pisany do kanclerza *Piotra de la Vigne*. Z którego pisma wnosząc, poczytywał nasz filozof-cukiernik sztukę sporządzania cukru fioletowego za najwyższy szczebel mądrości ludzkiej, za ogólną summę wiedzy filozoficznej.

Lecz cóż właściwie był ów cukier fioletowy? „Byłto specyalik“ — odpowiada na to trubadur *Guyot de Provins*, składający się z róży, fiołków, pliris, diadragum, penidoinun, diadorum Jullii, diamargareton i innych ingredyencyj, które sprowadzano z Montpellier. Daleko jaśniej i zrozumialej opisuje nam tensam ciekawy przedmiot inny średniowieczny pisarz, lekarz *Armand de Villeneuve*, zmarły w początkach 14 stólecia. Według niego, cukier fioletowy dodawał apetytu, odwilżał piersi, łagodził suche i ciężkie kaszle; pożywany z ciepłą wodą pokrzepiał żołądek, z zimną wodą, ochładzał płuca, i ożywiał podniebienie; słowem posiadał tysiączne własności, których każdy ciekawy doczytać się może w pietnastym rozdziele księgi autora wspomnionego pod nazwą *Antidotarium*. Niemniej też pomyślne skutki przypisano w tem dziele cukrowi różowemu. Przy sporządzaniu jednego lub drugiego używano róż i fijołków, a *Armand de Villeneuve* zaręczał, że zfabrykowany w ten sposób cukier przez dwa lata nie ulegał zepsuciu.

W pewnym cennym rękopiśmie średniowiecznym, to jest w spisie wydatków króla Jana angielskiego, wspomniany jest jakiś cukier *muscarat* czy *mouscarat*, którego żaden słownik technologiczny wyjaśnić nam nie umie. Zdaje się jednakże, iż wszystkie te cukry różniły się wcale od dzisiejszych cukierków i karmelków. Byłyto raczej konserwy i konfitury, które w niezwyczajnej ilości spożywano w dawniejszych czasach. Szczególniej konserwy, o których można bardzo dokładnie zainformować się w ciekawem dziele: *Le menagier de Paris*, sporządzano we wszystkich krajach zachodnich w niezmiernej obfitości. Cukierki i konfitury z fruktów dopiero wtedy rozpowszechniły sie, gdy skutkiem rozmnożenia plantacyj cukru na wyspach kanaryjskich upowszechnił się także cukier. Według twierdzenia Champiera miały wszystkie zagraniczne cukierki i konfitury, które w pietnastym wieku spożywano we Francyi, pochodzić z wyspy Madery.

Moglibyśmy przydłużyć o wiele rozprawkę niniejszą, wyliczając nieco poźniejsze gatunki cukierków i konfitur. Jesteśmy wszelako tego zdania, iż jak same cukierki tak i rozprawy o nich, bywają niestrawne i nudne, jeśli w nazbyt wielkiej podane będą ilości.

August Thierry, autor „Historyi zdobycia Anglii przez Normanów“, tudzież „Listów o historyi francuskiej“; zmarły jak wiadomo przed kilką miesiącami w sześćdziesiątym pierwszym roku życia, godzien posłużyć za wiekopomny przykład cierpliwości i zamiłowania w naukach. Bezustanne ślęczenie nad staremi, wyżółkłemi rękopisami pozbawiło go wzroku na kilka lat przed zgonem. Drogo więc okupił sławę pierwszego historyka we Francyi, który na prawdziwych źródłach narodowych oparł sztukę pisania dziejów. Znosił on nieszczęście swoje z spokojem i pogodą umysłu, jakiemi zapewne nie wielu filozofów w wyższym odznaczyło się stopniu. Jeszcze na krótki czas przed swoją śmiercią, pisał on do jednego z przyjaciół: „Gdybym miał rozpocząć na nowo smutną kolej życia mojego, nie wahałbym się obrać tężsamą ścieżkę, która mię do dzisiejszego doprowadziła kresu. Ślepy i cierpiący, pozbawiony wszelkiej nadziei i ulgi, mogę przecież złożyć świadectwo, które w ustach moich nie wyda się podej-

rzanem: Jest coś na świecie, co cenniejszem jest od majątku, cenniejszem nawet od zdrowia, a tem jest oddanie się umiejętności.“

Stan wymowy w Anglii. Czytaliśmy niedawno w jednym z wstępnych artykułów dziennika *Times:* „Pomiędzy stu damami i gentlemanami angielskiemi nie znajdziesz ani jednej osoby, którаby w głos tak czytać umiała, aby ucho słuchacza znachodziło przyjemność, a każde wygłoszone słowo przemawiało zarówno do serca i rozumu.“ Spostrzeżenie to nie jest wcale nowem. Pan *Douglas Thompson*, professor wymowy na jednym z wyższych zakładów naukowych, przytacza w dzienniku *The Literarium*, co jeszcze w roku 1789 napisał w tym względzie znakomity uczony dr. *Anzelm Bayley*. „Żaden naród“ — opiewa ustęp wyjęty z obszerniejszego dzieła — „nie może się poszczycić tylą dobrymi pisarzami jak naród angielski; równie jak żaden inny naród nie ma znowu tak mało dobrych mowców jak angielski. Jestto oczywistym skutkiem zupełnego zaniedbania i lekceważenia nauki elokucyi, która właściwie powinnaby stanowić najgłówniejszą część instrukcyi publicznej po wszystkich szkołach. Dziwną jest bowiem, że zaprawiając synów naszych na wzorach stylu greckiego, nie korzystamy z tychżesamych wzorów także do nabycia wprawy w głośnem czytaniu i dobrej elokucyi.“— Pan Douglas Thompson zapewnia, że mimo wszelkie mowy w parlamentach i na mityngach nie zmieniły się rzeczy od r. 1789. A przecież nauka wymowy sama w sobie postąpiła nadzwyczajnie w ostatnich latach mianowicie pod względem fizyologicznym. Dlatego zdaniem pana Thompson powinnaby ona wykładaną być po wszystkich szkołach i uniwersytetach. Nauka enuncyacyi odświeżałaby nie tylko pamięć, lecz wzmacniałaby oraz płuca uczniów. Niejedno nawyknienie niepodobne do wyleczenia w latach dojrzalszych, dałoby się tym sposobem uchylić snadno za młodu. Zajekiwanie się, fałszywy tryb oddechania, błędna modulacya głosu, niezdolność wymawiania niektórych spółgłosek, chrypliwość mowy, to wszystko mógłby zdolny i pilny nauczyciel wymowy usunąć wcześnie z największą łatwością.

List polecający Rafała. Na pewnej licytacyi autografów w Paryżu sprzedano niedawno za 200 franków list księżny Joanny Ubaldini Sora, żony prefekta rzymskiego, pisany dnia 1 października 1504 do gonfaloniera florenckiego Piotra Soderini w interesie młodego Rafała. W liście tym znajduje się następujący ustęp: „Ten młody malarz posiada bardzo wiele zdolności, a oddany mi jest całem sercem. Walnyto zresztą chłopiec, przyjemny i ujmujący; lubię go niewymownie, i pragnę z duszy, aby dostąpił wszelkiej doskonałości. Dlatego polecam ci go usilnie, i proszę abyś mu nie odmówił twojej pomocy, ilekroć będzie jej potrzebował. Cokolwiek uczynisz dla niego, uważać będę za przysługę dla mnie samej.“

Przebiegłość lisa. Pewien myśliwy stojąc długo ukryty w gęstwinie lasu, był pomimowolnie świadkiem następującej ciekawej sceny. Stary i jak się zdawało biegły w rzemiośle lis, wyszedł ostrożnie z lasu, i z szczególniejszem zajęciem zaczął przypatrywać się wysokiemu pniu świeżo ściętego dębu. Widocznie jakaś myśl niespokojna trapiła przebiegłego bohatera tylu rymowanych i nierymowanych bajek, gdyż kręcił się ustawicznie na wszystkie strony, machał długą kitą, i oglądał się co chwila poza siebie. Nagle odbiegł o kilka kroków od pnia, i zmierzywszy go jeszcze raz okiem, poskoczył ze wszystkiej siły ku wierzchołkowi. Próba udała się nadspodziewanie pomyślnie. Wyskoczył od pierwszego razu na sam szczyt pnia, i spojrzał bystro dokoła. Potem zskoczył chyżo na ziemię, i poraz drugi, trzeci i czwarty powtórzył gimnastyczne ćwiczenie, osiągając zawsze pożądany skutek. Zdawało się, iż z wielką uciechą nabył zupełnego przeświadczenia o swojej zręczności, bo z niemałą dumą spoglądał jeszcze przez chwilę na pień dębn, a potem zerwał się nagle, i znikł jak strzała w gęstwinie. Lecz po krótkim czasie powrócił spiesznie, niosąc w zębach sporą kłodę dębową. Z tym ciężarem ponowił tężsamą sztukę akrobatyczną, a gdy już po któryś raz wskoczył z równą łatwością na wierzchołek, spuścił kłodę na ziemię, i pozostał na górze, skulony we dwoje, z zwiniętą pod siebie kitą i wychyloną naprzód głową. Tak leżał całą godzinę bez najmniejszego ruchu. Nagle podniosł lekko głowę, a w tej samej chwili zaszeleściało w gęstwinie, i wielka dzika maciora z pięcia czy sześcia młodych wysunęła się z lasu. Lis leżał spokojnie, aż maciora na kilka kroków zbliżyła się ku jego stanowisku, potem jak strzała spuścił się na dół, pochwycił w przelocie jedno z warchląt, i nowym skokiem wrócił na szczyt swojej twierdzy. Biedny warchlak zakwiczał co mu sił stało. Maciora obróciła się wściekle, i przyskoczyła do pnia, jakgdyby go kłami z korzeniem wyrwać chciała. Lecz niestrwożony lis rozszarpał z najzimniejszą krwią swoją ofiarę, i zaczął ją w oczach matki spożywać. Naprożno wspinała się w górę wściekła maciora, naprożno ryła ziemię dokoła, o twarde drzewo kły wyszczerbiała. Lis kończył spokojnie swoją biesiadę, i czasem tylko spojrzał złośliwie na biedną matkę, która po długich wysileniach przekonała się wreście o bezskuteczności swoich zamachów, i spokojnie w głąb lasu powróciła z resztą rodziny.

Wpływ wódki podczas zimna. Znane jest uprzedzenie naszego ludu, że wódka rozgrzewa podczas zimna, i pokrzepia nogi w pochodzie. Tymczasem rzecz się ma wcale inaczej. Jak wszystkie płyny alkoholiczne, tak i wódka wywiera w pierwszej chwili nagły i gwałtowny skutek; wnet jednakże ściąga wszystko ciepło do piersi, i tem więcej oziębia jeszcze nogi i ręce. Ztądteż najczęściej zamarzają w drodze ludzie upojeni wódką. Zupełnie przeciwny skutek sprawia natomiast wino w miernej ilości. Rozdziela ono ciepło krwi na wszystkie członki, pokrzepia siły, rodzi wesołość i odwagę. Równy lub jeszcze pomyślniejszy skutek sprawia filiżanka czarnej kawy.

Przypowieści. — Cztery rzeczy trudne do utajenia w domu. Cztery te rzeczy z żadnej nie mogą się miary ukryć w domu: kochanie, kaszel, ogień, swary.

Na konia u stada, na niewiastę gdy chleb sadza, na pana gdy się gniewa, nie nacieraj.

Żrzebię tureckie, wyżle niemieckie, chłopię szlacheckie, najlepiej chować.

Bogaty się dziwuje, czem się żebrak gnaruje.

By pies na sienie, sam go nie je, a krowie go nie da.

Biada temu domowi, gdzie krowa doboda wołowi.

Czosnek trzykroć przesadzany obraca się w truciznę.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*